

IZABELLA FRĄCZYK
JAGNA ROLSKA



SEKRETNY SKŁADNIK

BOOK  END

SEKRETNY SKŁADNIK



[Kup książkę](#)

IZABELLA FRĄCZYK
JAGNA ROLSKA

SEKRETNY SKŁADNIK

BOOK  END

[Kup książkę](#)

Copyright © Izabella Frączyk, 2023

Projekt okładki

Paweł Panczakiewicz

Zdjęcie na okładce

Anton27/Shutterstock.com

Redakcja

Maria Talar

Korekta

Maciej Korbasiński

Skład i łamanie

Andrzej Zyszczak – Zyszczak.pl

ISBN 978-83-965582-3-7

Kraków 2023

Wydawnictwo BOOKEND

bookend.wydawnictwo@wp.pl

www.bookend.pl

Capital Village Sp. z o.o.

ul. Gęsia 8/202, 31-535 Kraków

Druk i oprawa

Drukarnia POZKAL Spółka z o.o.

88-100 Inowrocław, ul. Cegielna 10-12

Dystrybucja

Motyle Książkowe

Zwrotnicza 6, 01-219 Warszawa

www.motyleksiazkowe.pl

[Kup książkę](#)

*Podczas zbierania materiałów do powieści
nie ucierpiał żaden kucharz.*

ROZDZIAŁ 1

Liliana Krasnodębska spojrzała z pogardą na maniurzystkę, a jej nozdrza niebezpiecznie się rozszerzyły.

– Chyba mówiłam, że mają być biało-czarne paski! – wyszczała jadowicie.

Zdezorientowana dziewczyna zerknęła na idealną zebnę na paznokciach klientki, po czym spojrzała na twarz celebrytki ze zdumieniem.

– Przecież są paski. Zgodnie z życzeniem – wyjąkała.

– Dokładnie to samo dzieje się podczas castingów do mojego programu – warknęła Liliana, odrzucając na plecy pasmo jasnych loków. – Wszędzie amatorzy i prowincjonalni nieudacznicy! Czy ja proszę o wiele?

Wstała z krzesła i wyciągnęła przed siebie dłonie z teatralną przesadą. Podstawiła je pod nos maniurzystki.

– Nie rozumiem, w czym problem – bąknęła dziewczyna. Poczuła się dotknięta do żywego tym, że kobieta wytknęła jej brak profesjonalizmu oraz pochodzenie. Ale wiedziała, że nie może dać się sprowokować. – Pomalowałam wedle życzenia – dodała obronnym tonem.

– Otóż to! Ludzie albo nie słuchają, albo nie rozumieją, co się do nich mówi! – Liliana nadal się awanturowała. – Miały być białe-czarne paski, a nie czarno-białe!

– A to nie to samo? – zdziwiła się dziewczyna.

– Oczywiście, że nie to samo – klientka się obruszyła. – W pierwszym przypadku białe paski są grubsze, a w drugim cieńsze. To przecież absolutnie logiczne!

– Paski są równe, więc spełniają dowolne wymogi. To są paski uniwersalne – odparła manikiurzystka, starając się zachować powagę. Zachowanie kulinarnej gwiazdy z minuty na minutę stawało się coraz bardziej absurdalne.

– Jak coś jest do wszystkiego, moja droga, to jest do niczego! – podsumowała triumfalnie Liliana, wysuwając oskarżycielsko palec z nieszczęsną zebrań na paznokciu.

– Oczywiście ma pani całkowitą rację. – Do stanowiska manikiuru podszedł zwabiony podniesionymi głosami właściciel salonu piękności. Był niewysokim,

lecz przystojnym mężczyzną z zaczesanymi do tyłu ciemnymi włosami.

Liliana natychmiast straciła zainteresowanie manikiurzystką i spojrzała bacznie na bruneta.

– Wiem, że mam rację – powiedziała z wyższością, lecz nie zaprotestowała, gdy właściciel salonu uniósł lekko jej dłoń i pochyliwszy się nad nią, szarmancko ucałował.

– Czy jakiś miły rabacik będzie wystarczającym zadośćuczynieniem, czy też kolacja ze świecami byłaby odpowiedniejsza? – zapytał, zniżając uwodzieńczo głos. Patrząc przy tym taksująco na zgrabną kobietę sylwetkę ubraną w markowy czerwony sweter z golfem i opinające smukłe uda dżinsy Gucciego.

– W pełni satysfakcjonuje mnie zniżka – oświadczyła, choć manikiurzystka mogłaby przysiąc, że słyszy w jej głosie nutkę żalu.

Zapłaciwszy zaledwie połowę kwoty za usługę, Liliana Krasnodębska założyła swój puchowy płaszcz Red Valentino i z uniesioną głową wyszła na ulicę.

– Taka randka szefowi przepadła – skomentowała manikiurzystka, gdy za klientką zamknęły się drzwi.

– Żartujesz? – Mężczyzna się roześmiał. – Za karę bym nie poszedł! Przecież to baba z piekła rodem. Nie wiem, co ludzie w niej widzą, ale ja przełączam kanał w telewizji za każdym razem, gdy leci

program z jej udziałem. Nie cieszy mnie też, że uparła się na mój salon. Reklamy nam nie robi, a kiedyś wreszcie nie uda się nam jej ugłaskać i obsmaruje nas w internecie.

– Zawsze przykładam się do roboty. A już przy niej to podwójnie – zapewniła dziewczyna.

– Ja to wiem. Ona tak robi tylko po to, żeby wyłudzić rabat, spokojnie.

– Tyle kasy ma i jeszcze takie sztuczki stosuje! Co za babsko! – Maniurzystka wywróciła oczami.

– Toż mówię. Z piekła rodem – odparł szef i krzepiąco poklepał pracownicę po ramieniu.

Określić w ten sposób Lilianę Krasnodębską to jak nic nie powiedzieć. Szła przez życie ze skutecznością tarana i walca drogowego w jednym, a podwładnych traktowała niczym przedmioty, nie mając dla nich krztyny zrozumienia ani szacunku. Wszystkich otaczających ją ludzi miała za pionki w swoich rozgrywkach i nie liczyła się zupełnie z ich uczuciami. Przed piętnastoma laty, jako osiemnastolatka z przyzwroicie zdaną maturą, przyjechała do Warszawy i od razu pojęła, że jedynie bezwzględne dążenie do celu pozwoli jej utrzymać się na powierzchni życia i osiągnąć wymarzony sukces. Na początku nie myślała o karierze restauratorki. Jak wiele zgrabnych i ładnych dziewczyn liczyła na sukces

w modelingu i równoległym studiowaniu zarządzania na Uniwersytecie Warszawskim, na który się właśnie dostała.

Marzenie piękne, lecz spełnia się nielicznym. Liliana, klasycznie ładna blondynka, być może błyszczała na szkolnych imprezach, ale w warszawskich agencjach modelek okazała się jedynie kolejną przeciętnie urodziwą buzią. Ginęła w tłumie, niczym się nie wyróżniając. Szybko zrozumiała, że jeśli chce się utrzymać w stolicy, musi bezzwłocznie znaleźć pracę. Ku jej rozpaczy jedyną opcją okazała się gastronomia i w tenże sposób wylądowała w sieciowym fast foodzie na zmywaku.

– Można prosić o wspólne zdjęcie? – Obcy głos wytrącił Lilianę z zamyślenia. Odruchowo przybrała sceniczny uśmiech i spojrzała przytomniejszym wzrokiem na intruza. Tuż przed nią, na chodniku Nowego Świata, stała dziewczyna w jadowniciej różowej czapce z pomponem. Dłoń opierała na ręczce dziecięcego wózka.

– Ależ jak najbardziej – odparła przesłodzonym głosem. Najchętniej odepchnęłaby fankę, lecz zamiast tego objęła ją ramieniem i ułożyła usta w lekki dzióbek. Dla pewności wytrzeszczyła oczy i delikatnie przechyliła głowę wystudiowanym ruchem.

– A możemy z Natankiem, pani Lilu?

– Oczywiście. Co za słodki bobas – skomplementowała, pilnując, by na jej twarz nie wypełził pełen niechęci grymas. Liliana Krasnodębska nie znosiła dzieci. Uważała, że stanowią jedynie komplikację i kłopot, a ona była zbyt mocno skupiona na sobie, żeby ustępować komukolwiek pola.

– Wspaniale! – pisnęła dziewczyna, po czym bezceremonialnie wepchnęła ciężkawego Natanka w objęcia celebrytki i zrobiwszy minę karpia, zaczęła strzelać fotki jak szalona.

– Bardzo pani dziękuję! Jest pani najlepsza! Oglądam każdy program i też w domu gotuję. Gdyby chciała pani mój przepis na mielone, to...

– Na początek proszę wziąć to dziecko, chyba się nieco denerwuje, bo jakby zeszytywniało – sapnęła Liliana, walcząc z obrzydzeniem.

– Och nie, spokojnie. To grzeczny chłopiec. Tylko się tak wygina, gdy robi kupę! – Fanka się roześmiała.

– Tym bardziej proszę go zabrać. – Liliana z trudem powstrzymała irytację, lecz chłodnego spojrzenia już nie opanowała.

Chwilę później udało się jej dotrzeć na parking. Z ulgą wskoczyła za kierownicę swojego volvo. Na wszelki wypadek zablokowała drzwi, choć nie przypuszczała, by kolejna fanka zaczęła się wciskać do środka. Z drugiej strony – ostrożności nigdy zbyt wiele.

Oparła się o zagłówek i westchnęła ciężko. W takiej sytuacji najchętniej zapaliłaby papierosa, lecz rzuciła palenie kilka lat temu. Zwykle nie myślała o dawnym nałogu, chyba że w chwilach wzburzenia, co natychmiast kazało jej się zastanowić, czym właściwie się denerwuje. Przecież nie durną manikiurzystką ani entuzjastyczną fanką w towarzystwie walącego w pieluchę dzieciaka. Liliana, gorączkowo myśląc, popukała biało-czarnym paznokciem w kierownicę. Prawie podskoczyła, gdy rozległ się dzwonek telefonu. Spojrzała na wyświetlacz i nim zaakceptowała połączenie, wcisnęła do ucha bezprzewodową słuchawkę.

– Lepiej, żeby to było ważne – warknęła i odpaliła silnik. Nie bez trudu wytoczyła okazałego SUV-a z wąskiego miejsca parkingowego.

– Bardzo przepraszam, wiem, że nie powinnam ci przeszkadzać, gdy jesteś w salonie piękności, ale... Może ja jednak później zadzwonię?

– Moniko, do jasnej cholery! Dzwonisz po to, żeby powiedzieć, że masz pilną sprawę, więc zadzwonisz potem? Jakim cudem jeszcze cię nie wywaliłam z roboty na zbity pysk?! – Poirytowana Liliana włączyła się do ruchu i natychmiast utknęła w monstrualnym korku.

– To ja już nie wiem, czy mam mówić, czy nie! – pisnęła przerażonym tonem rozmówczyni.

– Mówić. Byle krótko! – huknęła do głośnika Liliana.

– No więc sprawa wygląda tak, że przed chwilą dzwonił ten producent, biznesmen, ten ważny taki...

– Jaki? Nazwisko!

– Już, chwileczkę, miałam zapisane, zaraz znajdę. – W tle dał się słyszeć odgłos wertowania kartek.

– Na litość! Jest dwudziesty pierwszy wiek, a ty wciąż używasz papieru? – Liliana jęknęła. – Zupełnie nie pojmuję, dlaczego jeszcze cię toleruję.

– Bo ogarniam wszystko – odparła impertynentko Monika. To akurat stanowiło niezaprzeczalny fakt i choć dziewczyna nieustannie drażniła Liliannę, ta postanowiła przemilczeć bezczelną uwagę. – O, już wiem! Gustaw Groń.

– Ten bogacz z Podhala? A czego chce?

– Wymyślił sobie program o wielkanocnym gotowaniu, oczywiście w sercu gór.

– I to jest ta wielka sensacja? Straciłaś dziewczynę wyczucie, a to mi uświadamia, że jestem zbyt pobłażliwa, zbyt wiele ci płacę i powinnam poszukać kogoś na twoje miejsce. Nie ma dnia, żeby ktoś mnie nie zapraszał do takiego programu. Jeśli facet ma dobrą ofertę, ustal termin w studiu gdzieś pod Warszawą, umów paru laureatów konkursów kulinarnych, w których byłam jurorem, i nakręcimy, co trzeba.

Ofertę wynagrodzenia połóż mi na biurku. Powinnam być za kwadrans na Żoliborzu. – Liliana zerknęła na mapę nawigacji.

– Ale Lila, to nie tak... – Monika jęknęła z rezygnacją. – On już zaprosił wszystkich.

– Wszystkich?!

– Patronat prezydenta miasta i paru innych szych. No i Serce Tatr, hotel z odpowiednią renomą należący do Gronia. Będą transmisje telewizyjne w pierwszy dzień świąt, wejścia na żywo podczas przygotowań i podróży. Nie zabraknie tam żadnego liczącego się człowieka z branży. Zaproszono też laureatów konkursów kulinarnych. Również twoich podopiecznych z *King's Cook Show*. No i Sebastiano Costa już potwierdził przybycie...

– Sebastiano! – Liliana wyszczała nienawistnie i nadepnęła na gaz. Zauważyła lukę na sąsiednim pasie, więc niewiele myśląc, wymusiła pierwszeństwo. – Znów on! Czy ten skurwiel zniknie w końcu z mojego życia?

– Nie zniknie – odparła rzeczowo Monika. – Na skali popularności idziecie łeb w łeb i nikt inny wam nie zagraża. Ja wiem, że to nieszczęśliwe porównanie, ale w mediach stanowicie królewską parę.

Liliana zacisnęła dłonie na kierownicy i zdusiła w sobie pragnienie, żeby dodać gazu i wjechać we

wlokącego się przed nią podrdzewiałego matiza. Powstrzymała ją jedynie wizja skandalu, jaki momentalnie rozpętałby się w mediach.

Przesuwając się w kolumnie samochodów, bezwiednie zatopiła się we wspomnieniach.

Na samym początku, gdy tylko przyjechała do Warszawy, nieustannie kursowała pomiędzy akademikiem, uczelnią i pracą w fast foodzie. Pieniądzy ledwie starczało na bułki i paprykarz, a ubrania kompletowała w lumpeksach. Mimo to nie odpuszczała, wciąż próbując dostać się na jakiekolwiek salony stolicy. Nie wybrzydzała w kwestii branży. Jeśli udało się wkręcić na raut hotelarzy z koleżanką ze studiów, szła bez grymasu. Okazji szukała też w klubach, na prywatnych imprezach i przeróżnych odczytach, na które z chęcią chadzała. Któż by pomyślał, że swoją szansę otrzyma od losu tuż po tym, gdy skończyła zmianę na zmywaku i potwornie zmęczona usiadła na krawężniku ulicznym przed knajpą? Zastanawiała się, czy wydać kasę na taksówkę, czy iść pieszo do sąsiedniej dzielnicy, gdzie mieścił się akademik, gdy tuż przed nią wyrósł jakiś człowiek, zasłaniając światło pobliskiej latarni. Niechętnie uniosła głowę i ujrzała najprzystojniejszego faceta, jakiego kiedykolwiek widziała. Średniego wzrostu, w typie południowca, z orzechowymi oczami. Kucnął przed

Lilianą i z zakłopotaniem przeciągnął dłonią po kocyku na czubku głowy.

– Czy coś się wystąpiło? – zapytał zaniepokojony. Mówił po polsku, lecz zabawnie zniekształcał słowa. – Mogę jakoś pomóc?

– Jeśli tylko jutro zapakujesz za mnie milion hamburgerów w papierki! – Roześmiała się, po czym wzruszyła ramionami.

– Pracujesz tu? – Nieznajomy powiódł spojrzeniem po niezbyt urodziwej fasadzie sieciowego baru.

– Niestety tak. – Liliana westchnęła ciężko.

– Ja też pracuję w gastronomii – odparł. – Mam na imię Sebastiano, a ty?

– Lilka – odpowiedziała. Nikt nigdy tak jej nie nazywał. Być może zadziałała chęć ukrycia personaliów albo podania cudzoziemcowi uproszczonej wersji imienia? Nie do końca wiedziała, czym był podyktowany ten impuls.

– Miło cię poznać.

– Co robisz w Warszawie? – zapytała.

– Przychodzę z Portugalii. Jestem kucharzem, zupełnie niepoznanym. Ściągnął mnie mój inwestor. Mam robić kuchnię pełną owoców morza, lecz to trudne. – Roześmiał się.

– Z pewnością. Szczególnie że Warszawa nie leży nad żadnym morzem. – Uśmiechnęła się do nowego

znajomego. Sprawiał sympatyczne wrażenie. – Uwielbiam gotować. Zawijanie tych buł doprowadza mnie do szału. Kompletna profanacja sztuki kulinarnej. A jutro mam egzamin o ósmej rano, a do akademika daleko. Ech... – Liliana jęknęła.

– Mogę cię wyrzucić. Jestem przyzwoitym facetem. – Sebastiano podniósł do góry dłonie w obronnym geście. – Żaden ze mnie zbir ani złoczyńca.

– Chyba podrzucić. I mówi się: zboczeniec albo złoczyńca. – Uśmiechnęła się do niego ciepło. – Niech będzie. Dzięki. – Westchnęła znużona ciężkim dniem. – Ale tylko do drzwi akademika – ostrzegła.

Ta przygoda nie skończyła się przed wejściem. Gdy dojechali na miejsce, Liliana podziękowała za podwózkę. Zanim wysiadła, spojrzała na Sebastiano. Otwarcie gapił się na nią. Miała wrażenie, że gdyby mógł, pożarłby ją całą. Bezwiednie rozchyliła wargi. Wcale się nie zdziwiła, gdy nowy znajomy ją pocałował. Ochoczo odpowiedziała na namiętą pieszczotę. Uczucie było tak obezwładniające, że zakręciło jej się w głowie. Nie potrzebowali słów. Współlokatorka Liliany z akademika właśnie wyjechała na kilka dni w rodzinne strony, zatem, poddając się ogarniającemu ich pożądaniu, wkrótce dotarli do łóżka dziewczyny.

– Nie zrobię niczego, czego sobie nie życzysz – powiedział Sebastiano, po czym łapczywie przywarł do jej miękkich ust.

– Za dużo mówisz – mruknęła, przyciągając go do siebie.

Bajkowa noc uświadomiła Lilianie, że myślenie o życiu jest przereklamowane. Trzeba po prostu rzucać się w wir wydarzeń i tylko z tego czerpać naukę. Zupełnie przypadkiem zostali parą. Sebastiano wielokrotnie zapewniał ją o dozgonnej miłości, a ona z uśmiechem na twarzy przyjmowała od niego bukiety kwiatów, sprawdzając dyskretnie, na którą kwiaciarnię się wykosztował. Wiedziała, że jest pracownikiem gastronomii, lecz nie miała pojęcia, gdzie dokładnie pracuje. Zauważyła jednak, że stać go na ładne mieszkanie, niezły samochód i modne ubrania.

Zdziwiło ją, gdy kilka miesięcy później zapytał, czy zechce się do niego wprowadzić. Zgodziła się od razu. Cóż miała do stracenia? Łóżko w dwuosobowym pokoju w akademiku?

Szybko się okazało, że świetnie się dogadują, a ich wspólne życie jest dosłownie usłane różami, którymi romantyczny Portugalczyk zasypywał Lilianę bez żadnej szczególnej okazji. Mimo osobistej sielanki Liliana nie rzuciła dotychczasowego zajęcia. Chciała być niezależna i utrzymać pozory, że ich związek

jest całkowicie partnerski. Wprawdzie intensywnie poszukiwała innej pracy, lecz niestety bezskutecznie.

– Wszystko się we mnie buntuje na myśl, że muszę iść do tej przeklętej roboty – pożałowała się pewnego dnia rano. Sznurowała z ociąganiem obuwie, kucając w przedpokoju. – Kiedy sobie pomyślę o tych butach BHP, robi mi się słabo. Wiesz, jak bardzo bołą w nich stopy?

– To nie idź – odparł ze swobodą Sebastiano. – Jeśli chcesz, załatwię ci lepszą pracę.

– Nie mogłeś mi tego zaproponować kilka miesięcy temu? Przecież widzisz, jak bardzo się męczę. I to bez żadnych widoków na awans. – Liliana spojrzała z wyrzutem.

– Nic nie zmówiłaś. I nie chciałem się wytrącać – wyjaśnił. – Źle zmyślałem? – Aż się skulił, widząc jej wściekłą minę.

– Źle myślałeś – odparła z naciskiem.

Następnego dnia, milcząc tajemniczo, zaprosił ją na wycieczkę. Niczego nie podejrzewając, wsiadła do samochodu i pozwoliła się zawieźć do podwarszawskiej miejscowości. Już sama brama wjazdowa zrobiła na Lilianie ogromne wrażenie, a rozległy park i ulokowana pośród roślinności rezydencja zwyczajnie odebrały jej mowę.

– Tu właśnie pracuję – powiedział Sebastiano.

– Jesteś kucharzem jakiegoś milionera?

– Nie. – Roześmiał się. – Kręcimy kulinarne show.

Nic nie mówiłem, żeby nie popeszyć. To nowa projekta. Dopiero jesienią wyląduje w telewizji. W Polsce nie było jeszcze czegoś takiego.

– A co ja tu robię? – zapytała ostrożnie.

– Chciałaś zmienić pracę, więc zostaniesz moją asystentką – oświadczył radosnym tonem.

Liliana nie odpowiedziała. Chłoneła atmosferę planu filmowego, podziwiała piękną kuchnię z marmurowymi blatami i drewniane skrzynki pełne produktów żywnościowych, o których istnieniu nie miała dotychczas pojęcia. Choć jej nowe zajęcie polegało głównie na podawaniu Sebastiano tego, co akurat było mu potrzebne, kamera ewidentnie ją lubiła i z odcinka na odcinek coraz mocniej skupiała się na niej. W błyskawicznym tempie Liliana nauczyła się precyzyjnego siekania, a ciasta zagniatła smukłymi palcami z taką wprawą i w tak uwodzicielskiej pozie, że kamerzysta koncentrował się tylko na niej, czasami zapominając o Sebastiano.

Życie nie mogło być lepsze. Dziewczyna uwolniła się od znienawidzonej pracy, a pensja wzrosła dwukrotnie. Za wisienkę na torcie robił Sebastiano. Cudowny kochanek, partner, a jednocześnie niezwykle nauczyciel sztuki kulinarnej.

Warszawa nie rozpieszczała przyjezdnych. Każdy chciał nowego osadnika oskubać. Począwszy od właścicieli mieszkań, skończywszy na pracodawcach, którzy kodeksu pracy nie zauważyliby nawet wtedy, gdyby się o niego potknęli. Z tym większym niedowierzaniem Liliana spojrzała na stan konta po pierwszej wypłacie. Podskoczyła i z szerokim uśmiechem na ustach pobiegła do kuchni w mieszkaniu Sebastiano. Przewertowała setki przepisów, żeby zrobić coś wyjątkowego. Dorodne sandacze i młode pory czekały w lodówce na swoją kolej. Z mozołem wyłuskała z łupin pierwszy w sezonie zielony groszek kupiony za ciężkie pieniądze w modnym warzywniaku na Mokotowie, po czym zamieszała smażącą się w maśle tartą bułkę.

Godzinę później przebrała się w seksowną kieckę i zrobiła makijaż. Lustro odpowiedziało jej, że wygląda świetnie, więc zadowolona okręciła się wokół własnej osi. Pobiegła do kuchni przypilnować ryb. Mieszkali ze sobą już trzy miesiące, więc spodziewała się dalszych deklaracji. Zwłaszcza że Sebastiano zapowiedział czekający ich niezapomniany wieczór.

– Oświadczy się jak nic – mruknęła do siebie pod nosem i uśmiechnęła się od ucha do ucha.

Ryby usmażyły się idealnie na złoto, sos porowy pachniał zniewalająco, a ona, zadowolona z efektu,

otarła pot z czoła. Warszawa jak zwykle zapoczątkowała lato upałami rodem z koszmaru. Liliana otworzyła na oścież balkon i zapatrzyła się na oświetlone miasto. Zastanawiała się, czy inni mieszkańcy umierają z gorąca tak jak ona. Tkanka miasta miała swoje plusy, lecz duszne lato zdecydowanie do nich nie należało. Biała sukienka nieruchomo zwisała wokół bioder, a osiedla nie nawiedził najmniejszy wiatr, który rozwiałby malowniczo jej fałdy. Mimo to z ekscytacją czekała na Sebastiano.

Natarczywe pukanie do drzwi sprawiło, że podskoczyła do góry. Natychmiast otworzyła je na oścież. Zamrugła z niedowierzania, gdy na progu zamiast Sebastiano z bukietem róż zobaczyła oszałamiająco piękną brunetkę z równie piękną dziewczynką siedzącą jej na biodrze.

– Pani do kogo? – Liliana spojrzała na kobietę badawczo.

Brunetka nie bawiła się w uprzejmości. Wymieniła bezceremonialnie rywalkę i poszła prosto do sypialni, w której jeszcze rano kochankowie zatracali się w swoich rozgorączkowanych ciałach.

– O ty sukinsynu! – szepnęła pod nosem Liliana, domyślając się prawdy. – No to jeszcze zobaczysz, na co mnie stać!

Wspomnienia sprawiły, że Liliana się wzdrygnęła. Korek się wreszcie przerzedził, więc nadepnęła na gaz i nie zważając na ograniczenia prędkości, pomknęła w stronę siedziby firmy. Swojej firmy. Konkurencyjnej. Od lat zarabiała ogromne pieniądze i wbrew wszelkim sugestiom producentów nie angażowała się w żadne projekty, w których utrapiony Portugalczyk także brał udział. Wolała stracić, niż spotkać się z nim oko w oko. Dla niej, tamtego dnia, Sebastiano zwyczajnie przestał istnieć.

ROZDZIAŁ 2

Klemens Smrek Kotelnicki po raz kolejny tego dnia spróbował bezskutecznie podładować telefon. Przed snem zapomniał podpiąć smartfon do ładowarki i teraz urządzenie co chwila straszło go padającą baterią. W jego biznesie kontakt ze światem był podstawą, zatem obiecał sobie solennie, że w końcu pójdzie do sklepu i na taką okoliczność nareszcie kupi porządny powerbank, a najlepiej dwa. Prowadząc zakopiański pensjonat, musiał być pod parą przez okrągłą dobę, a zwłaszcza w sezonie. Zazwyczaj terminarz na Wielkanoc miał wypełniony już w wakacje, ale niestety po prognozach wieszczących pluchę i niskie temperatury goście masowo wycofali świąteczne rezerwacje.

A to było dziwne, bowiem Polacy od przedwojnia kochali Podhale, a przede wszystkim jego serce, czyli Zakopane. Ludzie z dużych miast – warszawiacy

wiedli w tym prym – nie wyobrażali sobie, by choć raz do roku nie wyskoczyć do Zakopca. Stolica Tatr od dawna słynęła z turystycznych atrakcji, regionalnej kuchni i drożyzny. W tej okolicy ceny nie spadały nawet po sezonie. Podhalańskie interesy cieszyły się popularnością praktycznie przez okrągły rok, notując jedynie nieznaczną zniżkę w okresach między końcem ferii zimowych a Wielkanocą oraz schyłkiem złotej polskiej jesieni a pierwszymi śniegami. Amatorzy zatłoczonych Krupówek i kolejek do wejścia na Giewont oprócz świąt, wakacji i ferii niezmiennie przypuszczali szturm także w każdy dłuższy weekend, czy to sąsiadujący z Bożym Ciałem, czy też ze świętami majowymi, więc górale i ich działalność turystyczna mieli się świetnie.

Klemens, zamiast się martwić o rezerwację, wrócił myślami do swojego zawodu miłosnego. Od rozstania z Jadzią nie potrafił znaleźć sobie miejsca. Zamiast otrząsnąć się i pełną parą iść do przodu, mężczyzna czuł się, jakby uszło z niego całe powietrze.

Z Jadzią i Hanką znali się od kołyski. Bliźniaczki mieszkały po sąsiedzku. Matki Klimka i dziewczynek od pierwszej klasy siedziały w jednej ławce i wspólnie marzyły. Najpierw o tym, by poślubić tych wyśnionych książąt z bajki, a później o dzieciach. Gdy te przyszły na świat, młode mamy zapragnęły

wyswatać w przyszłości swoje pociechy i ślubem połączyć obie rodziny. Ich wspólne marzenie sprzed lat za sprawą Klimka i Jadzi miało szansę się ziścić, ale niestety coś poszło nie tak. Miesiąc przed planowanym hucznym weseliskiem Jadzia przyznała się Klemensowi, że zdradza go od pół roku z miejscowym policjantem Jędrkiem Ratrakiem Byrcynem. Stwierdziła, że wcześniej nie wiedziała, którego z nich ma wybrać, dlatego ślubu nie odwoływała, lecz teraz ma pewność, że to z Jędrkiem chce sobie ułożyć życie. Klimek oszalał z rozpaczy. Oliwy do ognia dołało potworne upokorzenie. Najgorsze było poczucie kompletnej zdrady. Ufał narzeczonej bezgranicznie, sądził, że oprócz miłości łączy ich także prawdziwa przyjaźń, tymczasem ona cynicznie grała na jego uczuciach, lawirowała między nim a Jędrkiem i brnęła w ten ślubny cyrk, żeby tylko nie zostać na lodzie.

Po tym, gdy jego marzenie o małżeńskim szczęściu roztrzaskało się w drobny mak, Klemens na długie miesiące utonął w alkoholu. Zapewne pławiłby się w nim aż do dziś, gdyby nie babcia, która pewnego dnia po raz kolejny zastała go zmarnowanego kacem gigantem. Maria zdecydowała się wziąć sprawę w swoje ręce. Rodzice Klemensa od lat mieszkali za granicą, zatem zdana tylko na siebie postanowiła działać.

– Dość tego! Masz się natychmiast wziąć w garść! – huknęła mu pewnego razu nad uchem.

– Jezu, babuniu, nie krzycz tak! – Klimek jęknął nieprzytomnie i trzymając się za głowę, podszedł do okna, by zasunąć zasłonę. Promienie słońca boleśnie drażniły jego wzrok.

– Ani mi się śni! – Energiczna kobieta zamaszystym ruchem ponownie odsłoniła okno. – Guzik mnie obchodzi, żeś nieszczęśliwy! Nie tyś jeden na świecie, którego dziewczucha kantem puściła.

– Ale to moja sprawa. – Mężczyzna odwrócił się tyłem do okna.

– Twoja?! Cóżeś powiedział? Jaka tam twoja?! Biznes leży i kwiczy. Gości sama muszę obskakiwać. Stali klienci narzekają, że się twoje gotowanie pogorszyło. Nie wiedzą, że się mażesz i mazgaisz, a ja nie umiem gotować aż tak jak ty. Chcesz stracić renomę? Spójrz na siebie! Śmierdzisz jak menel jaki!

– Nie, babuniu, ja...

– Weź dupę w troki! – warknęła Maria. – Koniec picia!

Zdumiony wybuchem babci, Klemens jakby nieco oprzytomniał. Po niej mógł się spodziewać wielu rzeczy, ale nie tego, że zamknie go w jego mieszkaniu w pensjonacie na klucz. I że nie wypuści przez trzy dni. Oczywiście mógł siłą wyważyć drzwi albo się

wymknąć, gdy na jej polecenie przynoszono mu posiłki, ale nie śmiał przeciwstawić się babci. To był dla niego ciężki czas, lecz inicjatywa okazała się skuteczna. Trzeciego dnia, trzeźwy, umyty i w świeżym ubraniu, znów zaczął wyglądać jak człowiek. Uśmiechnął się do swojego odbicia w łazienkowym lustrze. Gdy babcia weszła do pokoju, uściskała go serdecznie.

– Dziś nie ma śniadania? – zapytał zdziwiony.

– Sam sobie zrobisz. Koniec aresztu. – Maria pogłaskała wnuka po głowie. – Twój pradziadek za kołnierz nie wylewał, stąd wiem, że trzy dni to dobry czas, by się ogarnąć.

– Jesteś kochana. – Klemens pocałował ją w policzek, wyszedł na korytarz i wyminawszy kuchnię, pognął do piwnicy. Na widok zwiędłych roślin jęknął głośno. Jego eksperymentalna uprawa hydroponiczna wyglądała jak obraz nędzy i rozpaczy. W czasie gdy trzeźwiał, musiał się przepalić bezpiecznik. Pozbawione światła i cyrkulacji wody rośliny do niczego już się nie nadawały, a pozieleniała od glonów woda cuchnęła jak zgniłe jaja. Cały efekt jego pracy nadawał się wyłącznie do wyrzucenia. Westchnął i podniósł sadzonkę sałaty dębolistnej. Rachityczne listki rozeszły mu się w palcach.

W ostatnich miesiącach hydroponika stała się jego oczkiem w głowie. Uprawa sałat i ziół w wodzie

zamiast w glebie zafascynowała go od pierwszej chwili. Początkowo wprawdzie nie mógł pojąć, jakim cudem sałata może wykiełkować i wyrosnąć, dryfując w wodzie, ale rozwiązanie okazało się całkiem proste. W tego typu uprawie wystarczyło zastosować chemicznie obojętny materiał mineralny, by skutecznie ustabilizować korzenie roślin. Żadne czary. Cała tajemnica tkwiła w odpowiednim doborze rozpuszczonych w wodzie nawozów.

Klemens od zawsze pasjonował się ogrodnictwem. Jako kucharz amator dobrze wiedział, że w gotowaniu najważniejsze są dobrej jakości składniki. Sernik z jajek z supermarketu nijak się miał do wypieku na jajkach od szczęśliwych kur. To dotyczyło też mięsa i warzyw. O ile dostawców świeżego drobiu, jagnięciny czy jajek miał na wyciągnięcie ręki, o tyle z warzywami było już gorzej. Surowy górski klimat nie sprzyjał uprawom, dlatego zainwestował w budowę szklarni z prawdziwego zdarzenia. Z czasem, gdy dowiedział się, że nie wszystko może rosnąć obok siebie, postawił jeszcze foliowy tunel. Kilkanaście skrzyń zastępujących grządki i dwa spore inspekty były już tylko dodatkiem do spektakularnej uprawy niezliczonych odmian pomidorów i ogórków. Zaczął od popularnych malinowych, ale błyskawicznie złapał bakcyła i udzielając się na fachowych forach

internetowych, od podobnych sobie fanatyków zdobył nasiona rzadko spotykanych odmian. Ogród warzywny był jego dumą, niestety zima wykluczała taką aktywność. Pomysł z całoroczną hydroponiką spodobał mu się od razu. Po kilku tygodniach miał już własne sałaty i zioła, a goście pensjonatu Halniak nie mogli się nadziwić, jakim cudem w środku zimy gospodarz dysponuje własną zieleniną. Zawsze uśmiechał się tajemniczo, czym jeszcze bardziej rozbudzał ich ciekawość. Przez cały czas eksperymentował z uprawą. Zaliczał sukcesy i wpadki, ale jego ogrodnicze hobby ostatecznie pozwoliło mu się otrząsnąć po miłosnym zawodzie i ruszyć do przodu.

Od tamtego niedoszłego wesela minęły blisko dwa lata. Jadźka urodziła dorodną córkę, a Klemens odżałował, co nie znaczy, że wybaczył Jędrkowi. Gdy zdarzyło im się na siebie wpaść, Klimek ostentacyjnie odwracał głowę.

Najbardziej z wyboru Jadźki była niezadowolona Hanka, jej siostra. Przyjaźniła się z Klemensem i uważała, że Jędrzek nie dorasta mu do pięt. Cóż jednak mogła poradzić na uczucia siostry? Serce nie sługa.

Hanka od najmłodszych lat miała doskonały kontakt z Klimkiem. Mimo że była bliźniaczką jedynie kwadrans starszą od siostry i wyglądała prawie identycznie, charakter miała zupełnie inny. Podczas

gdy Jadźka przebierała lalki, namiętnie pisała pamiętnik i wzdychała do książąt z bajki, ona wraz z Klimkiem i jego kumplami godzinami uganiała się po lesie, bawiąc się w wojnę, podchody i chowanego. Między innymi dlatego dla wszystkich z ich otoczenia wielkim zaskoczeniem było, gdy Klimek związał się z Jadzią.

– Cześć! – Hanka jak co dnia weszła tylnym wejściem do kuchni w Halniaku. Zdjęła haftowany w parzenice kożuszek i wyłuskała się z nieskończonego długiego, własnoręcznie wydzierganego na drutach szala. Przeglądając się w lustrze, poprawiła spięte w koński ogon proste czarne włosy i pociągnęła usta brzoskwiniowym błyszczkiem. Śniada karnacja i ciemna oprawa oczu wcale nie wymagały dodatkowych upiększeń. Hanka robiła makijaż jedynie od wielkiego dzwonu. – Jezuniu, co za ziąb! Normalnie aż zęby mi kłapią. Co słychać?

– A leci jakoś... – mruknął Klemens i delikatnie zamieszał w garnku.

– Co tam masz? Mogę w czymś pomóc? Matko, byle paluchy rozgrzać. Chyba ogrzewanie mi w aucie siadło, bo jest zimniej niż na zewnątrz. Grule oskrobać? Dużo gości macie?

– Prawie pusto.

– Tuż przed Wielkanocą? Myślałam, że macie komplet?

– A coś taka ciekawa? Chcesz się przydać? – wtrącił się Klemens i spojrzał na nią znad naczynia z roztopionym masłem.

– Znowu klarujesz? Mam zbierać pianę? Zgadłam?

– Pudło. Zbierz mi grzyby. Potrzebuję czterech porządnych garści, więc nie przynoś więcej. Tu masz miskę. Mniej więcej tyle ma być.

– Ale że jak? – Hanka spojrzała na Klemensa jak na wariata. – Mam iść na grzyby? W marcu?! Bóg cię opuścił?

– Nic podobnego! – Klemens się roześmiał. – Wystarczy, że skoczysz na dół. Szybciej będzie.

– Niby gdzie? Do piwnicy? Hodujesz tam grzyby? A może jeszcze i maryskę? – Hanka, znając ogrodnicze upodobania przyjaciela, nie powinna się dziwić, ale tym razem naprawdę ją zaskoczył.

– Dokładnie. Miniesz kotłownię. Na lewo za piecem leżą baloty z bocznikami. Teraz przypada największy rzut grzybów z pierwszego z brzegu balotu, więc kombinuję nowe przepisy. Trzeba czymś zaskoczyć szanownych gości, gdy w końcu się pojawiają.

– Chyba nigdy nie jadłam boczników. Dla mnie wyglądają jak trujące psiury.

– Nie przesadzaj. To bardzo smaczne i delikatne grzyby. Są źródłem białka, składników mineralnych i witamin. Nadają się do suszenia, marynowania, duszenia, smażenia i pieczenia. Czego chcieć więcej?

– No dobra. Dzięki za wykład. To idę na grzyby.

Hanka dobrze знаła drogę. Ciekawa, jak wygląda domowa uprawa i czym jeszcze zaskoczy ją Klemens, minęła kotłownię. Na widok sporej zafoliowanej paczki obsypanej grzybami aż westchnęła z zachwytu. Nigdy nie miała szczęścia w lesie, a teraz mogła sobie poszaleć przy grzybobraniu.

Uśmiechnęła się szeroko na widok prostokątnego wora obficie porośniętego bocznikami. Szybko porzuciła pomysł, by odcinać grzyby pojedynczo. Usuwanie całych kęp było zdecydowanie łatwiejsze. Napelniwszy miskę, skubnęła gałązkę mięty i wsunęła ją do ust. Uwielbiała takie naturalne orzeźwienie.

Klemens już skończył klarowanie *ghee* i zabrał się za czytanie swojego notatnika z przepisami. Właśnie wpadł mu do głowy pomysł, by podsmażonymi na maśle bocznikami zastąpić makaron w orientalnej zupie, która ostatnio tak smakowała gościom.

Hanka na widok Klemensa pochylonego nad stołem przystanęła na chwilę, zanim weszła do kuchni. Zwyczajnie lubiła na niego patrzeć. Od kiedy pamiętała, zawsze kojarzył jej się z czymś pozytywnym

i miłym. Znali się tak długo, że nawet nie potrafiłaby określić, czy on się jej podoba, czy nie. Klimek był po prostu Klimkiem. Dla niej mógł być łysy, rudy, gruby lub mały i brzydki, i tak nie miałoby to żadnego znaczenia. Dopiero niedawno, gdy przez przypadek podsłuchiwała obgadujące go wczasowiczki, inaczej spojrzała na przyjaciela. Obie zgodnie uznały, że nieźle z niego ciacho, i zapewniwszy się wzajemnie, że żadna z nich z łóżka by go nie wyrzuciła, pozwoliły sobie na kilka pikantnych komentarzy. Na widok Hanki urwały rozmowę, ale to, co usłyszała, wystarczyło jej, by nieco zmienić optykę. Teraz po raz kolejny poddała jego sylwetkę wnikliwej analizie.

Już tylko mocna budowa ciała i wzrost oscylujący w okolicach stu osiemdziesięciu centymetrów zwracały uwagę. Trzymał się prosto, co sprawiało, że wydawał się jeszcze wyższy. Przemiana materii była dla niego łaskawa, zatem mimo wielu żywieniowych grzeszków nie narzekał na nadmiar kilogramów i absolutnie nie wierzył w kalorie. Jako dojrzały trzydziestopięciolatek mógł się poszczycić świetną sylwetką. Jeśli do tego dodać intensywnie niebieskie oczy, mocno zarysowaną szczękę i ładny, szczery uśmiech, okazywało się, że Klemens naprawdę jest prawdziwym ciachem. Nie dziwiło więc, że podobał się kobietom.

– Co tak stoisz? – Babcia Maria klepnęła Hankę w ramię.

– Jezu! – wrzasnęła zaskoczona dziewczyna i wypuściła miskę z rąk. Na szczęście naczynie było z plastiku.

– Co wy tak człowieka straszycie? – Klemens, wyrwany z zamyślenia, odwrócił się od kuchni.

– Przepraszam. To ja się przestraszyłam! – Hanka padła na kolana, by pozbierać rozsypane boczniki. – Z grzybów wróciłam i mnie ciocia...

– Dobra, dobra. Chodźcie. – Klemens przejął miskę i przesypał zawartość na durszlak, po czym szybko przepłukał grzyby. Mamrocząc coś pod nosem, wysypał je na suchą ścierkę.

– Co ty tam gadasz? – zapytała Maria. – Znowuż nowy przepis klecisz?

– Tak! Chyba znalazłem wreszcie patent na zupę *umami*.

– Na co? – Obie kobiety spojrzały na niego zdziwione.

– *Umami*? Dobrze się czujesz? – zapytała Hanka.

– Nigdy o tym nie słyszałaś?

– Nie. To znaczy słyszałam w telewizji, jak w *King's Cook Show* mówili, że coś smakuje jak *umami*, ale ja sobie pomyślałam, że to taki smak jak u mamy. A co to właściwie jest?

- To jest tak zwany piąty smak.
- Czyli? Słodki, słony, kwaśny, gorzki i...
- ...no właśnie. I smak *umami* – powiedział Klemens i uśmiechnął się od ucha do ucha, ukazując rząd równych zębów.
- Ej, coś ty wnusiu bredzisz farmazony jakieś. W butelkę chcesz nas nabić czy jak?
- Nie. Babuniu, no co ty? Ja mówię całkiem serio. Sam usłyszałem o tym dopiero niedawno i też byłem zdziwiony. Mówił o tym jakiś sushi master, więc początkowo pomyślałem, że to coś japońskiego. Jakaś kulinarna nowomowa, coś tak cudaczego jak kaszotto i pęczotto. To za wysokie progi jak na nogi prowincjonalnego kuchcika.
- Nie przesadzaj! Kuchcika? Jakiś ty skromny. – Hanka się zaśmiała.
- Przecież wiesz, że nie mam za sobą żadnych szkoleń. Jestem kucharzem amatorem. Wszystkiego nauczyłem się sam. Zazwyczaj na własnych błędach. I cudzych. Mam na koncie niezliczone zakalce, okłapięte suflety i twarde jak podeszwa steki. Gdy zaczynałem, nie miałem internetu. Sam musiałem wpaść na to, żeby steków wołowych nie solić przed smażeniem i w trakcie nie obracać co chwila. W tej branży człowiek cały czas się uczy. Kto jeszcze dziesięć lat temu wiedział, co to jest topinambur? No, a teraz furorę robi *umami*.

– No dobrze, ale co to właściwie jest?

– Tego dokładnie nikt nie wie, ale podobno ten smak odkrył pewien japoński chemik, i to już ponad sto lat temu. Dacie wiarę? Głównie chodziło o specyficzny smak potraw na bazie bulionu *dashi*, który nie jest ani słodki, ani kwaśny, ani słony, ani gorzki, a nadal dobrze smakuje. – Klemens zadowolony, że mógł błysnąć wiedzą, podszedł do chłodziarki, wyjął z niej kawałek sera *parmigiano reggiano* i startł nieco na tarce. – Proszę, spróbujcie i powiedzcie mi, jaki nasz pocziwy parmezan ma smak.

– Smakuje jak... parmezan. – Hanka pierwsza pokusiła się o ocenę.

– I to jest właśnie *umami*. Teraz już rozumiecie, o co chodzi? Tylko że Japończyk wpadł na to już wcześniej. Kolejnym przykładem mogą być niektóre rodzaje sushi. Bardzo trudno jednoznacznie określić ich smak. To samo dotyczy grzybów. Po prostu smakują jak grzyby.

– I o to taki wielki raban? – Babcia Maria wzruszyła ramionami i nastawiła wodę na herbatę. – Farszu do pierogów z bryndzą byś lepiej naszykował. Mogę nalepić odrobinę. Te ostatnie wyszły ci przepyszne. W życiu takich nie jadłam, a i wielebny nie mógł się nachwalić.

– Wielebny? Nosisz na plebanie pierogi? – Klemens się zdumiał. – To proboszcz z wikarym nie mają co jeść?

– No mają, ale zawsze jak mam do plebana interes, to mu wyzerkę niosę. Ta ich gospodyni strasznie leniwa.

– To niech wezmą kogoś innego albo zamówią sobie catering. – Hanka natychmiast znalazła rozwiązanie.

– Och, dziecko, nie bluźnij mi tu. Inne też noszą. Nie mogę być gorsza. Jeszcze wyjdzie na to, że my kutwy jakie, a nasz Klimuś tak kucharzy, że paluszki lizać, to niech i księżulo też ma jaką uciechę. A Walentowej nie wyrzuci, bo stara już i chora. To się nie godzi – oświadczyła babcia Maria i poszła do siebie. Po pięciu minutach była już z powrotem z wiadomością, że kolejna rodzina odwołała rezerwację ze względu na fatalną pogodę.

– Co za jakaś cholerna passa! Jak tak dalej pójdzie, będziemy mieć całkowitą pustkę, a tu podwyżka goni podwyżkę. – Klemens usiadł ciężko na krześle i nalał sobie kompotu z wiśni.

– Ale chyba wpłacili zaliczkę? – zapytała Hanka.

– Tak. Całe pięć stówek. Myślisz, że to urwie mi tyłek? Pensjonat kosztuje nawet wtedy, kiedy nikogo

w nim nie ma. Ogrzewania nie wyłączę, bo nie wiadomo, kiedy przyjadą jacyś goście, więc musi być ciepło. ZUS-y trzeba płacić regularnie. Podatki też w terminie. Telefony, telewizja i internet także kosztują. Sama wiesz.

– Wiem, wiem. Przecież widzę, co jest grane. Tyle lat przyglądałam się waszej pracy, że chyba sama mogłabym prowadzić pensjonat. – Hanka podeszła do kredensu i zajrzała do miejsca, w którym zawsze stała blacha z jakimś ciastem. Tym razem zastała pustą szafkę. – Nie ma ciasta? Niemożliwe.

– Możliwe, możliwe. Nie ma gości, nie ma wypieków. Za to mam próbną porcję kajmaku z nowego przepisu. Chcesz trochę? – Klemens konspiracyjnie zniżył głos.

Hanka na te słowa poderwała się na równe nogi.

– No jasne!

– A właściwie to mam jeszcze lepszy pomysł – powiedział po chwili namysłu. – Babka skitowała w chłodziarce w piwnicy całe kule ciasta na mazurki. Upieczmy sobie małe mazurkowe ciasteczka.

– Żeby nas ciocia zatłukła? Znowu będzie: „zostaw to na święta” – powiedziała Hanka, tak udatnie imitując głos Marii, że Klemens ryknął śmiechem. – Ale wiem! Możemy wykraść nieco i upiec ciastka u mnie.

– Babka ma nos jak pies myśliwski, więc od razu by nas nakryła. Wyczuje, gdy się pieką, z drugiej strony ulicy. Ale niech tam, kto nie ryzykuje, ten nie żre ciasteczek. – Puścił oko do Hanki i wyłączył gaz pod rondlem.

– To co? Idziemy do piwnicy na grandę?

– Tak! – Klemens wziął ją za ręką i pociągnął w stronę drzwi.

– Też masz tak, że zakazany owoc smakuje najlepiej?

– Oczywiście – odparł.

– Zupełnie jak ze świąteczną nalewką orzechową. – Hanka się zaśmiała. – W lipcu zrywasz orzechy, do listopada robisz te wszystkie ceregiele i później czekasz do grudnia następnego roku. Przy tym to należałoby mieć amnezję, by zapomnieć, gdzie się schowało butelki, bo nawet i rok wcześniej ta nalewka jest pyszna.

– Pamiętam. – Klemens się rozmarzył. – Twoja mama zawsze robiła. Trzeba było udawać, że człowieka boli brzuch, żeby nalała odrobinę. A w zeszłym roku nastawiła?

– Tak. Przedwczoraj znalazłam zachomikowane butelki. Schowała w garażu za starymi oponami.

– Mówisz? – Klimek spojrzał na Hankę znacząco.

Natychmiast odczytała intencję. Znali się tak długo, że rozumieli się bez słów.

– U ciebie chata wolna? – upewnił się.

– Tak, nikogo nie ma. Mam zeszłoroczną orzechówkę, czyste kieliszki i czynny piekarnik!

Wystarczyło osiem minut w nagrzanym piekarniku, by po domu rozszedł się boski zapach. Zupełnie jak dzieci, oboje rzucili się na ciepłe kruche ciastka. Nowy serial na platformie filmowej oraz wyśmienita nalewka idealnie dopełniły szczęścia. Hanka zdjęła pantofle i podkuliwszy pod siebie nogi, wygodnie umościła się na kanapie obok Klimka. Zawsze tak robili, gdy byli dziećmi i wspólnie oglądali telewizję. Oboje uwielbiali horrory i kryminały. W przeciwieństwie do nich Jadzia wołała romantyczne bajkowe opowieści, zatem seanse filmowe zwykle zaliczali we dwójkę.

– Odpalamy od razu nowy sezon czy cofamy się o dwa odcinki?

– Ja bym się trochę cofnęła. Pół roku przerwy to sporo. Najwyżej przewiniemy do przodu. Chcesz jeszcze orzechówki?

– Pewnie! Mocna jak jasny gwint, ale pyszna jak nie wiem co.

– Moja mamcia ma talent. Tak jak i ty. – Hanka się ciepło uśmiechnęła i zmierzwiła przyjacielowi nieco przydługie jasnobrązowe włosy.

– Kurczę, mocna ta orzechówka. – Klimek odchrząknął i sięgnął po pilota.

– Mam jeszcze piwo i wino. Coś przynieść?

– A przynieś wino! Jutro niedziela.

Od sławetnego ciagu, gdy pił z żalu po utraconej narzeczonej, Klemens rzadko brał do ust alkohol. Jako właściciel hotelu musiał być nieustannie pod parą i do dyspozycji gości. Był wprawdzie zapalonym kibicem, zatem żaden ważniejszy mecz nie mógł się obejść bez piwa i chipsów. Ale na tym poprzestawał.

– Dokładnie. Ja też zamierzam jutro spać do oporu.

Spontanicznie zorganizowane wieczorne oglądanie szybko zamieniło się w serialowy maraton. Akcja była tak wciągająca, że zapomnieli o bożym świecie. W końcu Hanka wcisnęła pauzę i w podskokach pobiegła do toalety. Gdy wróciła, jej towarzysz spał już w najlepsze, więc wyciszyła nieco fonię, nakryła go kocem i kończąc swoje wino, obejrzała jeszcze trochę.